

LECH M. NIJAKOWSKI

# NIECHCIANE WSPÓLNOTY PAMIĘCI A POLITYKA LEWICY

Nielicznych tylko przedstawicieli nauk społecznych trzeba przekonywać, że żaden naród nie jest homogeniczną całością, że ludzie, nawet bardzo sobie bliscy kulturowo i językowo, różnią się specyfiką regionalnej obrzędowości, gwarową odmianą języka, katalożem lokalnych bohaterów. Tymczasem wystąpienia polityków rządzących Polską kreślą przed nami zgoła odmienny wizerunek: naród jest spójny (pomijając zdrajców ojczyzny z krwiożerczymi pracownikami SB na czele), łączy go ten sam wyjątkowo ubogi zasób symboli i postaci oraz te same, jakże często negatywne emocje, które budzą nasi sąsiedzi. Wszyscy rodacy doznają niemal religijnych uniesień, gdy wspominają marszałka Piłsudskiego oraz herosów powstania warszawskiego. Polska w tej wizji prawie redukuje się do Warszawy otoczonej przez prowincje zapatrzonych w muzeum Powstania Warszawskiego. Zawstydzające jest, że trzeba mówić, iż jest to wizja niezwykle ułomna. I zatrwąza zarazem, jak wiele osób ze stopniami i tytułami naukowymi wspiera tę propagandę Prawa i Sprawiedliwości. Polska to żywa całość składająca się ze wspólnot regionalnych o odmiennej specyfice. Najważniejsze jednak, że Polskę zamieszkują wspólnoty pamięci, które nieraz bardzo się różnią, a nawet pozostają ze sobą w konflikcie.

## Podział postkomunistyczny

Wbrew pozorom, podział postkomunistyczny nie jest najważniejszy, choć bez wątpienia nie można go lekceważyć. Na znaczenie tego podziału wskazują badania socjologiczne – przywołajmy jedynie bardzo dobrą rozprawę warszawskiego naukowca Mirosławy Grabowskiej *Podział postkomunistyczny. Społeczne podstawy polityki w Polsce po 1989 roku* (Warszawa 2004). Konstatując różnicę postaw zbyt często zapomina się jednak, że podział „my – oni” jest żywotną siłą na scenie politycznej. Dzięki wyrazistym podziałom społecznym łatwiej zmobilizować elektorat. Dlatego dys-

kurs publiczny jest z natury bardzo antagonistyczny, dąży do stygmatyzowania wrogów i angelizacji swoich. W Polsce mamy do czynienia z – jak to określa Marek Czyżewski – „rytualnym chaosem”, fałszywym dramatem społecznym, który mimo eskalacji konfliktu nie dąży do żadnego obywatelskiego *katharsis*. Podobnie i w przypadku podziału postkomunistycznego – nie tyle rozdziera on społeczeństwo, co raczej jest nieustannie odtwarzany w wypowiedziach polityków, wojowniczych historyków IPN, natchnionych i w swym odczuciu niedowartościowanych opozycjonistów piątego szeregu itd. Wobec takiej ofensywy celowej polityki historycznej (polityki pamięci), serwilizmu intelektualnego znacznej części (naturalnie nie wszystkich!) nauczycieli w szkołach powszechnych oraz nieustannego ujawniania „spisków komunistycznych” w przekazach medialnych, młode pokolenie musi zacząć powtarzać litanię bzdur o totalitarnym PRL, w którym zdegenerowani komuniści wyciskali krew opozycjonistów na czerwone książeczki. Tę wizję młody człowiek może jednak skonfrontować z pamięcią swych dziadków i rodziców. I w rodzinnych rozmowach ostrość tego podziału się zaciera. Choć stosunek do „komunizmu” w znacznym stopniu uzależniony jest od postaw rodziców, to nie są to postawy czarno-białe, jak klisze w świecie polityki. Zwłaszcza w świetle codziennych problemów, takich jak ograniczony dostęp do opieki zdrowotnej, standardy socjalne PRL zyskują na znaczeniu.

Na poziomie pamięci rodziny często inne wydarzenia i interpretacje zaczynają odgrywać rolę pierwszoplanową. Wiele z tych elementów pamięci autobiograficznej nie przenika do dyskursu publicznego. Ale nieobecność takich tematów trudniej dostrzec niż interpretacje jawnie fałszywe czy tendencyjne. Zdarza się jednak niejednokrotnie, że świat polityki uzna za stosowne napiętnować taką regionalną „aberrację”. Tak stało się w czasie kampanii prezydenckiej, gdy działacze PiS zaatakowali Donalda Tuska oskarżając

go, że miał on dziadka w Wehrmachcie. Już to niepełne oskarżenie wskazuje na uprzedzenia tych środowisk i odpowiadających im segmentom społecznym. Sama obecność dziadka w Wehrmachcie jest – w opinii rządzących – wystarczającym zarzutem, nie trzeba tego faktu uzupełniać o jakiś naganny czyn potomka.

### Dziadkowie z Wehrmachtu i SS...

Choć pojęcie wspólnota pamięci zrozumięte jest na podstawie potocznych intuicji, to dla porządku zdefiniujmy je szczegółowo. Jest to agregat osób (niekoniecznie grupa), które łączy określone doświadczenie biograficzne, nie zawsze o charakterze traumatycznym, oraz ich potomków, którzy przejęli pamięć rodzinną. Wspólnoty pamięci odróżnia od siebie nie tylko odmienna „obiektywna” historia pewnych jej przedstawicieli (np. dziadków walczących na różnych frontach), ale również indywidualna perspektywa jej członków (co ujawnia się w określonych strukturach narracyjnych) i związane z nią emocje.

Polska dzieli się na wiele tak rozumianych wspólnot pamięci. Co zaskakujące, wiele z nich uwarunkowanych jest jeszcze podziałem na zabory. To fascynujące, że mimo tylu lat intensywnych przemian, a co ważniejsze masowej powojennej migracji, wyobrażenia społeczne, praktyki i instytucje ukształtowane w czasach zaborów cały czas funkcjonują. Ujawnia się to nawet na poziomie aktywności obywatelskiej. Widać to doskonale w badaniach Jerzego Bartkowskiego opublikowanych w książce *Tradycja i polityka. Wpływ tradycji kulturowych polskich regionów na współczesne zachowania społeczne i polityczne* (Warszawa 2003). Odmiennie zasoby symboli i stereotypów nie tylko tworzą specyfikę tożsamości regionalnej, ale co ważniejsze wpływają na współczesne działania nawet z pozoru najbardziej racjonalne. Nie trzeba dodawać, że tradycje regionalne mają duże znaczenie w postrzeganiu krajów sąsiedzkich, a także określonych narodów i mniejszości etnicznych. Polska jest doskonałym przykładem na istnienie – jak to określają neoinstytucjonalisci – historycznej ścieżki zależności (*path dependent*), która w znacznym stopniu determinuje działania polityczne i społeczne często sabotując próby reform czy sanacji świadomości społecznej.

Największe znaczenie ma jednak druga wojna światowa, a to ze względu na jej zbrodniczą efektywność i trajektorie zbiorowej traumy, którą zapoczątkowała. To, w jakiej strefie okupacyjnej przyszło żyć obywatelom II Rzeczypospolitej, określiło nie tylko ich los w czasie wojny, ale i często świadomość, a nawet los ich potomków. Szczególnie ludność autochtoniczna o niewyrobitej tożsamości narodowej podlegała znaczącom zawirowaniom. Pamięć o II wojnie światowej odgrywa w Polsce rolę – jak to określił Edmund Dmítrów – „pamięci najwyższej instancji” (*Pamięć i zapomnianie w stosunkach polsko-niemieckich*, „Przegląd Zachodni” 2000, nr 1, s. 17). Mimo zróżnicowanych doświadczeń pokoleniowych, w świadomości Polaków wojna zajmuje bardzo istotne miejsce. Jest to przy tym pamięć związana głównie z losami rodziny i znajomych – „pamięć sprywatyzowana”. Jak podkreśla Barbara Szacka w nowowydanej książce *Czas przeszły, pamięć, mit* (Warszawa 2006): „Zwraca przy tym uwagę, że największej wypowiedzi o wojennych losach pochodzi z dyskusji

w najmłodszych grupach (18-35 lat). Potwierdzałoby to zauważone przez różnych badaczy zjawisko ożywienia się pamięci traumatycznych przeżyć i intensyfikacji ich upamiętniania dopiero po upływie pewnego czasu” (s. 169). Tym samym odchodzenie pokolenia świadków oraz zmiana charakteru pamięci II wojny światowej nie oznacza automatycznie jej „pragmatyzacji” czy osłabienia związanych z nią emocji.

W Polsce odrębne wspólnoty pamięci tworzą przede wszystkim obywatele polscy deklarujący inną niż polska identyfikację narodową. Jest to jednak nie tylko trzynaście uznanych przez państwo polskie mniejszości narodowych i etnicznych, ale także grupy etnograficzne i etniczne. Zresztą, socjogeneza niektórych mniejszości jest bardzo złożona. Około dziewięćdziesiąt procent mniejszości niemieckiej to Ślązacy, należący – z punktu widzenia etnografii – do narodu polskiego. Śląsk zresztą jest dziś prawdziwym laboratorium socjologicznym, gdzie problemy społeczne łączą się z dynamiką narodowościową, czego wyrazistym znakiem jest działalność środowiska śląskich autonomistów, dążących do zarejestrowania stowarzyszenia ludności „narodowości śląskiej”. Wspólnoty pamięci, które w sposób najbardziej wyrazisty łączą z większością polską animozje i konflikty symboliczne, to Ukraińcy/Łemkowie i Niemcy. Łemkowie uznawani są obecnie za odrębną od Ukraińców mniejszość etniczną, choć nie wszyscy pogodzili się z taką kategoryzacją.

Po wojnie większość Niemców zniknęła z ziem odrodzonej Polski wskutek ewakuacji lub ucieczki, bądź krótkotrwałych dzikich wypędzeń, czy wreszcie w wyniku masowych wysiedleń zalegalizowanych umowami międzynarodowymi. Dopełniły tego późniejsze dobrowolne wyjazdy Niemców – w ramach łączenia rodzin czy tzw. „późnych przesiedleńców”. Jak widać, opisując emigrację Niemców nie można poprzestawać na jednej, emocjonalnej kategorii „wypędzenia” – jak to się często robi. Rzetelność wymaga dostrzeżenia różnych przesłanek wyjazdów Niemców i stosowania odmiennej kategoryzacji, co trafnie wyjaśnia Stanisław Jankowiak w artykule *Terminologia w stosunkach polsko-niemieckich* („Sprawy Narodowościowe – Seria Nowa” 1997, nr 2). Jako Niemcy byli wysiedlani lub wyjeżdżali dobrowolnie także członkowie ludności rodzimej, zwłaszcza Ślązacy i Mazurzy. Na skutek tego ci drudzy prawie zniknęli z ziem Polski, zaś Ślązacy stanowią co najwyżej trzecią część ludności zamieszkującej historyczny Górną Śląsk (na Dolnym Śląsku prawie ich nie ma). Przez dziesięciolecia PRL uznawano, że mniejszość niemiecka to najwyżej kilka-kilkanaście tysięcy osób. Korzystając z przemian 1989 roku wielu Ślązaków zadeklarowało narodowość niemiecką. Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań z 2002 roku wykazał obecność 152 897 osób deklarujących narodowość niemiecką (oraz 173 153 osoby deklarujące „narodowość śląską”; w tej kategorii znalazły się jednak nie tylko, czy wręcz nie tyle osoby uznające się za „naród śląski”; szerzej o tym złożonym problemie traktują artykuły zebrane w książce pod moją redakcją *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?*, Warszawa 2004).

Co wyróżnia tę wspólnotę pamięci? Przede wszystkim pamięć socjalizacji w III Rzeszy Niemieckiej. Większość osób deklarujących narodowość niemiecką

zamieszkuje bowiem Śląsk Opolski, który znalazł się w granicach nowożytnego państwa polskiego dopiero po II wojnie światowej. Wynika to m.in. z tego, że większość Mazurów została wysiedlona lub wyjechała (obecnie w Polsce mieszka ich około 10 tysięcy). Osoby te musiały zatem uczestniczyć w młodzieżowych organizacjach nazistowskich i służyć w Wehrmachcie. I to niezależnie czy uznawały się za Niemców, czy za Polaków. Przypomnijmy, że późniejsi obywatele PRL zamieszkujący te ziemie byli z urodzenia *Reichsdeutschenami*, a nie *Volksdeutschenami*. Po wybuchu wojny cały Śląsk, a także np. Kaszuby, zostały uznane przez Niemców wraz z mieszkańcami za ziemie rdzennie niemieckie. W związku z tym ludność ta masowo zapisywała się na volkslistę, do czego zachęcało i państwo podziemne, i Kościół. Istniał też różnorodny przymus niemiecki, z groźbą wypędzenia i obozem koncentracyjnym na czele.

Uzyskany wpis na Deutsche Volksliste (niemiecką listę narodowościową) oznaczał jednak nie tyle przywileje, co obowiązki z tym najgorszym na czele – służbą w Wehrmachcie. Naznaczyło to nie tylko całe pokolenie Ślązaków, Kaszubów czy Warmiaków, ale i ich potomków. To właśnie w tym doświadczeniu tkwią korzenie powojennej krzywdy ludności rodzimej. Służba w armii III Rzeszy, posiadanie je obywatelstwa, wpis na volkslistę – to były dla większości Polaków z innych stref okupacyjnych rzeczy niewyobrażalne, świadczące o narodowym zaprzaństwie. I często nie zwracano uwagi, że były żołnierz Wehrmachtu uważał się za Polaka, że *Volksdeutsch* był działaczem polskiego podziemia, że *Reichsdeutsch* siedział w obozie koncentracyjnym. To był zbyt zróżnicowany obraz, wymagający uproszczenia, aby dało się go powielić w ramach biało-czarnych klisz. Cierpienia ludności rodzimej, często niezasłużone, wzmagaly weryfikacji i rehabilitacji. Symbolem tych działań stały się obozy dla Niemców w Łambinowicach i Świętochłowicach, gdzie śmiertelność była największa (25-30 proc. w Łambinowicach i ponad 33 proc. w Świętochłowicach). Teoretycznie do obozów powinni trafiać jedynie ci członkowie ludności rodzimej, którzy byli narodowości niemieckiej i oczekiwali na wysiedlenie lub ich identyfikacja narodowa, albo rola w niemieckim aparacie władzy była niejasna. Tymczasem przyczyny ekonomiczne sprawiły, że do obozów trafiały także osoby, które posiadały zaświadczenia o przynależności do narodu polskiego. Nieraz byli to powstańcy śląscy lub ich potomkowie. Jak widać, istnieje wspólnota losu Ślązaków ponad podziałami narodowymi. Mówienie o „polskich obozach zagłady” lub koncentracyjnych – jak czynią niektórzy radykalni działacze ruchu narodowości śląskiej – jest nieuprawnione, ale istniały polskie obozy pracy i karne, w których niejednokrotnie dopuszczano się zbrodni na ludności rodzimej.

Do tej pory białą plamą są także powojenne losy *Volksdeutschenów*. Ostatnio na polu naukowym uzupełnił ją w sporej mierze Leszek Olejnik doskonałą pracą *Zdraycy narodu? Losy Volksdeutschenów w Polsce po II wojnie światowej* (Warszawa 2006). Polscy *Volksdeutsche* stanowili około trzymilionową zbiorowość. Nie była to zatem jedynie stutysięczna znieprawiona grupa „zaprzańców” z Generalnej Guberni. *Volksdeut-*

*sche* stanowili bardzo niejednorodną grupę. Na jednym biegunie sytuowali się etniczni Niemcy (przedwojenna niemiecka mniejszość narodowa), na przeciwnym zaś Polacy ze względów koniunkturalnych, patriotycznych (polecenie organizacji podziemnych) lub pod przymusem wpisani na listę. Po wojnie nienawiść Polaków dotknęła wszystkich *Volksdeutschenów*, niezależnie od ich win. Bardzo symptomatyczny jest dowcip z czasów wojny:

„Kogo będziemy najpierw wyrzynać po wojnie? *Volksdeutschenów* czy *Reichsdeutschenów*?

– Reichsdeutschenów.

– Dlaczego?

– Bo najpierw obowiązek, a potem – przyjemność”.

Trzeba pamiętać, że rzeczywiście zbrodniarze najczęściej uciekali przed frontem radzieckim. Ci, którzy zostali, bardzo często uważali, że skoro nie zrobili nic złego, to nie mają się czego obawiać. *Volksdeutsche* byli zamykani w obozach, odbierano im mienie i pozbawiano ich praw publicznych. Nadużycia były na porządku dziennym. Nawet osoby zrehabilitowane miały problemy z odzyskaniem mienia. Problemy mieszkaniowe *Volksdeutschenów* ciągnęły się długie lata. Negatywne emocje dotyczyły także dzieci – nawet gdy ich rodziców zrehabilitowano, nie chciano ich widzieć w wielu szkołach. Trudno się zatem dziwić, że osoby, które nie chciały pierwotnie wyjechać do Niemiec, później szybko korzystały z tej okazji.

Jeżeli uświadomienie przymusu służby w Wehrmachcie wielu Polaków nastawia bardziej koncyliacyjnie do potomków niemieckich wojaków, to „dziadek z SS” wydaje się już argumentem za najwyższym ostracyzmem. Postrzeganie SS jest doskonałym przykładem odmienności tej wspólnoty pamięci. Mniejszość niemiecka w Polsce generalnie nie zachowuje takiej „poprawności politycznej”, jak ich pobratymcy z Niemiec – przeszli przez wiele debat historycznych, które poważnie wstrząsnęły świadomością historyczną. Mimo to jej liderzy i członkowie zdają sobie oczywiście sprawę, że SS zostało uznane za organizację ludobójczą. Ale ten wizerunek jest w wypowiedziach respondentów relatywizowany – okazuje się, że wielu zwykłych Niemców trafiło do SS z przymusu, nie mieli pojęcia o ideologii rasowej, zaś zbrodnie obciążają przede wszystkim nazistowskich przywódców. Jeden z moich rozmówców w czasie badań socjologicznych w opolskiej wiosce opowiadał, jak to oficer SS – wobec niechęci młodych ludzi – wskazywał palcem, którzy jego koledzy z klubu paralotniczego HJ mają wstąpić do tej formacji. Oczywiście, generalizowanie takich przypadków jest nieuprawnione, badania pokazują, że dyfuzja informacji o zbrodniach była, zwłaszcza w SS, znaczna, ale nie można zapominać, że – wbrew etosowi „czarnego zakonu” – do SS należeli nie tylko najbardziej zagorzali żołnierze totalnej wojny rasowej. Na froncie wschodnim Niemcy zorganizowali 40 dywizji SS. Nie można gloryfikować SS, nie ma żadnego uzasadnienia dla umieszczania szarż tej zbrodniczej organizacji na pomnikach lub tablicach (a tak próbowano zrobić na tablicy w Kaplicy św. Michała w Kątach Opolskich), ale nie można unieważniać obiektywnych dramatów wielu młodych żołnierzy SS, którzy trafiali tam ze względu na swą niewiedzę lub chęć awansu społecznego. A tym bardziej już dziadek z SS nie

jest automatycznie wejściówką do piekła społecznie-ogostacyzmu dla wnuka. Choć trudno o tym pisać w Polsce, traktowanie każdego SS-mana jako zdegenerowanego okrutnika jest niezgodne z faktami.

Zresztą zbyt często zapomina się o totalitarnym kontekście, w jakim funkcjonowali tacy żołnierze (pozostawmy na boku oficerów, których już nie sposób w ten sposób bronić). Dezercja była karana śmiercią. Polacy uciekali z Wehrmachtu, ale dopiero w sprzyjających warunkach. Iluż Ślązaków zamieniając mundury zasiliło szeregi armii Andersa! Dramatycznie wznosząca się krzywa ucieczek z Wehrmachtu straszyla niemieckich sztabowców. Bolesne losy młodych Polaków w niemieckich mundurach opisał w popularnej książce *Pogmatwane drogi* z 1979 roku Ryszard Hajduk. I choć żołnierze SS mieli większą swobodę, mogli zostać zwolnieni z obowiązku dokonywania zagłady, gdy nie wytrzymywali tego psychicznie (lub tak twierdzili), to jednak luksus „umycia rąk” nie zawsze był im dany. Nie o współczucie dla „biednych SS-manów” patrzących na Zagładę tu idzie, ale o dostrzeżenie naturalnego i uniwersalnego różnicowania postaw, kondycji moralnych i czynów w każdej, nawet najbardziej zbrodniczej zbiorowości. Słusznej delegitimacji publicznego upamiętnienia SS nie może towarzyszyć ostracyzm dla potomków i ich prawa do prywatnej, apolitycznej pamięci rodzinnej. To sprawa ich sumienia, a nie dekretacji i wynurzeń polityków.

Nie oznacza to oczywiście, że nie istnieje jakiś typ odpowiedzialności zbiorowej. Deklarując przynależność do wspólnoty narodowej, czując dumę i chwając się jej wielkimi przedstawicielami musimy zarazem poczuwać się do moralnej odpowiedzialności za jej ciemne sprawy. Używając wytartego ale aktualnego frazesu: Niemcy to naród i Goethego, i Hitlera. Jednym można się chełpić, za drugiego należy się wstydić. Ale nie oznacza to, że mamy być przez polityków indywidualnie piętnowani za czyny naszych przodków. Więź, która łączy nas z narodem jest – w sensie politycznym – dobrowolna i publiczna; rodziny się nie wybiera, jej sprawy mają jednak charakter czysto prywatny.

### ... dziadkowie z UPA

Obok niemiecko-śląskiej wspólnoty pamięci animozje i konflikty łączą większość polską z Ukraińcami i Łemkami. W tym przypadku historycznym źródłem jest konflikt na byłych wschodnich kresach II Rzeczypospolitej, którzy jedni określają mianem ludobójstwa popełnionego na Polakach, inni traktują jako wojnę domową. Wydaje się jednak, że najważniejsze jest określenie „czystka etniczna”, gdyż celem Ukraińców z UPA było wypędzenie Polaków. Zbrodnie i przemoc nie były jednostronne – Polacy dopuszczali się nieraz krwawych akcji odwetowych. Obie strony stosowały odpowiedzialność zbiorową.

Nie miejsce tu, aby pisać o przyczynach konfliktu polsko-ukraińskiego, który z całą mocą wybuchł w 1943 roku. Bez wątpliwości jednak nie można zapominać o tym, że źródła walki sięgają daleko w przeszłość. Znaczenie miała nie tylko polityka narodowościowa w II Rzeczypospolitej, ale również kolonialny stosunek polskiej szlachty do „dzikich pól”, pamięć walk polsko-ukraińskich 1918 r. z bitwą o Lwów na czele oraz „zdradzenie” Ukraińców przez podpisanie Trak-

tatu Ryskiego i internowanie żołnierzy Petlury. Sporo słusznych uwag na temat konfliktu zawiera praca zbiorowa wydana przez IPN pod redakcją Grzegorza Motyki i Dariusza Libionka *Antypolska akcja OUN-UPA 1943-1944. Fakty i interpretacje* (Warszawa 2002). Wielka pasja państwowotwórcza Ukraińców spotkała się z tradycyjnym, ludowym okrucieństwem. Wybuch barbarzyństwa wynikał nie tylko ze skali nienawiści żywionej przez wielu Ukraińców do Polaków, oraz – w odwecie – Polaków do Ukraińców, ale i z niedostatku broni palnej czy chłopskich „sposobów zabijania”. Po II wojnie Ukraińcy zostali zaś wysiedleni do ZSRR lub rozproszeni na ziemiach polskich w ramach akcji „Wisła” z 1947 roku. Jakże nie byłyby przyczyny, ten krwawy konflikt porozrywał wspólnoty lokalne, w tym często także rodziny wedle granic narodowościowych (czy narodowo-religijnych) i ufundował trwającą do dziś traumę, sprawiającą że proces pojednania jest niezwykle trudny i wieloaspektowy.

Relacje polsko-ukraińskie różnią się od polsko-niemieckich między innymi tym, że „zagraniczne” ojczyzny obu narodów mają bardzo odmienny status. Niemcy są silnie ekonomicznie i atrakcyjne, nacjonalizm niemiecki (w sensie opisowym) jest okrzepły i pełen autorewizjonistycznych głosów. Ukraina jest państwem młodym, słabym ekonomicznie, rozdartym na regiony o odmiennej tożsamości i charakterze nacjonalizmu. Bez wątpliwości jednak obie mniejszości narodowe tworzą wspólnoty pamięci w Polsce, które pozostają w stanie podskórnych animozji, ujawniających się co pewien czas otwartym konfliktem z polską większością. Najbardziej spektakularnym przykładem takich konfliktów są „wojny o pomniki”, które stawiają zarówno Niemcy, jak i Ukraińcy. Pomniki, wbrew sceptykom, odgrywają cały czas ważną rolę dla grup etnicznych, gdyż konstytuują wyrazistą domenę symboliczną, pozwalającą na korzystanie z kapitału symbolicznego (w sensie Pierre’a Bourdieu), skutecznego na rozlicznych polach i w różnych sferach życia społecznego. Nie miejsce tu na dowodzenie tej tezy – problemowi temu poświęciłem nowowydaną książkę *Domeny symboliczne. Konflikty narodowe i etniczne w wymiarze symbolicznym* (Warszawa 2006).

Nie tylko Ukraińcy i Niemcy pozostają w symbolicznym sporze z Polakami. Nie tak nagłośnie, choć pełne emocji są spory z mniejszością litewską: zakończony – o postawienie pomnika kardynała Antanasa Baranuskasa oraz trwający nadal – o pomnik żołnierzy litewskich na cmentarzu parafialnym w Berżnikach koło Sejna. Na zupełnie innym poziomie rozgrywają się spory z mniejszością żydowską, w której stronę nie są często obywateli polscy, ale diaspora żydowska oraz państwo Izrael. Bez wątpliwości większość – choć nie wszystkie – mniejszościowych wspólnot pamięci podziela interpretacje historii, które większości Polaków jawią się jeśli nie jako wrogi, to przynajmniej dziwne lub niezrozumiałe.

### Jak „elegancko” pamiętać

Nie trzeba jednak przywoływać stygmatyzowanej pamięci wspólnot etnicznych, aby zdać sobie sprawę, że polski dyskurs publiczny jest mało tolerancyjny dla wszelkiej inności. Rzadko w nim można dostrzec gotowość czy umiejętność ukazania racji odmiennej

wspólnoty pamięci. Wiele osób nie rozumie, że żaden naród, w tym polski, nie jest krystalicznie czysty, że zdarzyło mu się popełnić czyny ohydne. Nieważne, jakie uzasadniały je racje polityczne. Do tej pory wielu rodaków nie zaakceptowało naszej winy za zbrodnię w Jedwabnem i wielu podobnych miasteczkach i wsiach. Jeszcze nie ukazało się polskie tłumaczenie ostatniej książki Jana T. Grossa *Fear. Anti-Semitism in Poland After Auschwitz* (Princeton, Oxford 2006), a już polscy patrioci rzucają na nią kalumnie. Powojenne pogromy na Żydach uznawane są za wynik działania tajnych służb sowieckich, które manipulowały biednymi Polakami, nie tyle patrzącymi na pogrom, co go aktywnie wspierającymi. Nie tylko jednak o dyżurnego polskiego kozła ofiarnego chodzi. Prawie nikt nie czuje się zmuszony przeproszać za nasze zajęcie Zaolzia – ramię w ramię z nazistowskimi Niemcami. A czyż nie był to wyraz antydemokratycznego imperializmu, nawet jeśli szafowano hasłem, ponieważ opartym na prawdziwych przesłankach, o obronie mniejszości polskiej? Lista tego typu przykładów byłaby niestety długa.

Szczególnie irytującym przejawem nietolerancji jest cenzurowanie polskiej pamięci przeszłości w imię estetycznych czy obyczajowych tabu. Przykładem może być stosunek do „różowego trójkąta” – więźniów obozów koncentracyjnych zamykanych za skłonności homoseksualne. Taka – w oczach wielu – moralna skaza narusza świętość ofiar nazistów, dlatego nie można jej nagłaśniać. Jedyne homoseksualistów jako przedstawicieli kategorii więźniów – jak doniosła „Gazeta Wyborcza” z 28 stycznia 2005 roku – nie zaproszono na obchody sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau. Te ofiary nie pasują Polakom do „eleganckiej” wizji heroizmu ofiar niemieckiej maszyny represji.

Za takimi działaniami skrywają się nie tylko stereotypy czy uprzedzenia, ale fundamentalna potrzeba, aby przeszłym wydarzeniom nadać kształt opowieści, najlepiej z morałem. Ludzie spontanicznie stosują dominujące w danej kulturze wzorce narracyjne, aby dokonać selekcji faktów lub uzupełnić historię zbyt mało dramatyczną. Nie jest to tylko praktyka intelektualistów, cynicznie wpierających mity narodowe, ale każdego człowieka, jak poucza nas folklorystyka. Opowieść o masowej zbrodni bez *katharsis*, bez zaprezentowania wzoru osobowego, bez naznaczenia sprawców jako negatywnej grupy odniesienia, wielu jawi się jako wybrakowana i wręcz szkodliwa. Ta potrzeba „człowieka opowiadającego” nie może być zapoznawana, nie tylko aby uniknąć pułapek „koloryzowania” historii przez świadków, ale i by przekaz historyczny trafił do grupy docelowej. Prawda niestety nie jest atrakcyjna dla szerokich kół sama z siebie – wymaga ona odpowiedniego makijażu podkreślającego główne rysy jej charakteru. Zachowując krytycyzm i rygorizm prezentowania wiedzy rzetelnej nie zapominajmy o potrzebach i możliwościach percepcyjnych szerokich kół społecznych.

Nieumiejętność prowadzenia publicznego krytycznego dialogu historycznego zasklepia polską kulturę i zwiększa skłonność do historycznych awantur czy to na poziomie międzypaństwowym, czy wewnętrznym. Dla porządku dodajmy, że nie każdy gorący spór jest nieuzasadniony – ale w Polsce zagrożenie szabelką motywowane jest zbyt często niedostrzeganiem belki we

własnym oku. Trzeba bronić prawdy historycznej, ale nie można żyć złudzeniami narodowymi.

### Lewicowa polityka pamięci?

Czy lewica prowadzi własną politykę pamięci? W najogólniejszym sensie każdy ją prowadzi choćby mówiąc publicznie o faktach historycznych. Samo wymienienie dat i wydarzeń jest skutkiem ideologicznej selekcji, wskazującej na – nie zawsze w pełni uświadomione – posługiwanie się jakąś wizją porządku w dziejach. Zresztą pamięć równocześnie określa więzi społeczne, jakie jawią się naturalne i dopuszczalne. Wiąże nas z określoną grupą lub narodem, określa naszą tożsamość. Tym samym skrywa także relacje władzy. Warto w tym miejscu przypomnieć – za Johnem R. Gillsem, redaktorem świetnej pracy zbiorowej *Commemorations. The Politics of National Identity* (Princeton, New Jersey 1994), że pojęcia pamięć i tożsamość stały się obiegową zbitką w dyskursie naukowym stosunkowo niedawno. Samo pojęcie tożsamości zostało spopularyzowane przez Erika Ericssona dopiero w późnych latach pięćdziesiątych. Mimo to problematyka pamięci zbiorowej i jej znaczenia dla tożsamości różnych grup zyskała szybko na znaczeniu stając się dziś kanonem także eseistyki czy publicystyki. Pytając o pamięć myślimy zarazem o tożsamości jednostki lub grupy, wyjaśniając tożsamość musimy analizować treści pamięci autobiograficznej lub zbiorowej.

Określenie polityka lepiej jednak stosować w węższym, bardziej odpowiadającym tradycji sensie, tzn. wskazując na intencję jakiejś osoby czy grupy. Z tej perspektywy politykę pamięci proponuję zdefiniować jako wszelkie celowe działania polityków i urzędników, które mają na celu utrwalenie, usunięcie lub redefinicję określonych treści pamięci społecznej. Działania te mogą mieć charakter zarówno innowacji, jak i zrutyinizowanych praktyk. O samej polityce pamięci można by wiele napisać. Wypowiadałem się już na ten temat w innym miejscu (*Baron Münchhausen, czyli o polskiej polityce pamięci*, „Przegląd Polityczny” 2006, nr 75; czasopismo to zresztą często i interesująco wraca do tej problematyki), tu zatem chciałbym jedynie zapytać, czy lewica powinna prowadzić własną politykę pamięci.

Europejska lewica od dziesięcioleci uprawia swą politykę pamięci. Ugrupowania lewicowe w krajach byłego Układu Warszawskiego nie mają takiej swobody jak zachodnie partie, ale jednak walczą o obronę „prawdziwej” tradycji socjalistycznej czy socjaldemokratycznej (w odróżnieniu od „skażonej” komunistycznej) lub też bronią osiągnięć realnego socjalizmu. Na tym tle polska lewica pozostaje w głębokiej defensywie. Nie tylko nie potrafi podjąć rzeczywistego sporu historycznego, ale często także deprecjonuje sens samej polityki pamięci. Ta deprecjacja często wynika z niezrozumienia problemu, np. Longin Pastusiak twierdzi, że „polityka historyczna” oznacza „bliżej nieokreśloną politykę o historycznym znaczeniu i historycznych wymiarach” i w związku z tym prawica mówiąc o polityce historycznej w sferze polityki zagranicznej „proponuje, abyśmy nawiązywali do przeszłości, do historii naszych stosunków z sąsiadami” (*Myśl Socjaldemokratyczna* 2006, nr 1-2, s. 57, 58). To zupełne nieporozumienie wynikające nie tylko z nieznamości literatury fachowej, ale i z ułomnej analizy dyskursu publicznego.

Inni podważają sens polityki pamięci w imię imperatywów wolnej, krytycznej debaty publicznej (np. środowisko „Krytyki Politycznej”). Bez wątplenia oświeceniowe nawoływanie wydają się na pierwszy rzut oka w pełni godne poparcia. Cóż może być bowiem lepszego niż otwarta, krytyczna debata, gdzie liczy się argument, a nie autorytet instytucjonalny? Powstaje jednak problem, że jest to wizja – niestety – utopijska. Ludzie narzucają swą wizję historii za pomocą przemocy symbolicznej posługując się aparatem władzy (i podległym mu szkolnictwem) lub skumulowanymi kapitałami (ekonomicznym, społecznym, kulturowym). Zasadę tę widać zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych, gdzie pryskają delikatne i subtelne umowy i związki społeczne, a w ostatniej instancji decyduje siła. Nawet transnarodowe enklawy akademickie nie są w stanie, mimo rozległych sieci kontaktów, przełamać tej zasady. Mit intelektualistów rozbija się na drobne kawałki w starciu z *Realpolitik*. Przykładem może być dorobek międzyrządowych komisji podręcznikowych i jego akceptacja przez urzędników. Czy tego chcemy, czy nie, ideowi przeciwnicy lewicy prowadzą politykę pamięci, a zatem jej wypieranie się jest równie skuteczne jak pacyfistyczny protest polegający na odrzuceniu karabinu wobec ostrzału artyleryjskiego.

Zresztą sam popularyzatorski dialog akademicki, aby był efektywny, wymaga infrastruktury: dostępu do mediów elektronicznych, łam wysokonakładowych czasopism, przyjaznych miejsc spotkań, środków na archiwalne badania i opracowanie wyników badań. Bez wątplenia to powinno być jądrem lewicowej polityki pamięci: tworzenie warunków do pracy i popularyzacji wyników dla krytycznych historyków i badaczy społecznych nie poddających się presji środowiska, za co często płać wysoką cenę w postaci zamkniętej drogi do środków na badania. Dzisiejszej nauki nie da się prowadzić jedynie w zaciszu gabinetów; dotyczy to także nauk społecznych. Prawica już dawno to zrozumiała: funduje stypendia dla dyspozycyjnych badaczy, dotuje pisma kulturalne i naukowe, walczy o instytucje finansowane z publicznych pieniędzy. Sztandarowym przykładem jest IPN, raj dla „funkcjonariuszy do spraw historii” wspierających propagandę PiS. A lewica? SLD i SdPL nie robią nic na tym polu, zaś lewicowe kanapowe ugrupowania nie mają środków. Podkreślmy, że nawet najprężniejsze kluby dyskusyjne, najlepsze biuletyny popularnonaukowe, niszowe pisma czy strony internetowe nie zastąpią poważnej budowy infrastruktury. W zasadzie jedynym podmiotem, który na tym polu coś robi, jest Fundacja im. Róży Luksemburg, jej przedstawicielstwo w Polsce. Budowanie ram wsparcia dla krytycznej refleksji historycznej powinno być zatem głównym celem lewicowej polityki pamięci.

Ale na tym nie może (niestety!) się kończyć. Tak jak polityka oporu bez stosowania przemocy sprawdza się tylko czasami, w specyficznych warunkach, tak i nadstawianie drugiego policzka w imię rzetelności naukowej może być krótkowzroczne. Bowiem im bardziej rosną szeregi przekonanych do prawicowej wizji historii, nawet jeśli ich postawy mają niktę oparcie merytoryczne, ale silne emocjonalne, tym trudniej działać naukowcom i publicystom opierającym się dominującym prawicowym schematom. Ten efekt kuli śniegowej ujawnia się nie tylko w czasie wyborów,

ale przede wszystkim w instytucjach, które mają być z pozoru neutralne światopoglądowo. Doskonałym przykładem jest próba ukazania pragmatycznych źródeł stanu wojennego – już samo sformułowanie tematu stygmatyzuje naukowca czy publicystę jako obrońcę dyktatury wojskowej. Dlatego lewica musi walczyć o to, aby jej wizja historii docierała do ludzi, aby stawała się im bliska na tyle, by chcieli sięgnąć po książkę ugruntowującą nabytą wiedzę. W czasach, gdy ludzie prawie nie czytają, przekonanie do zakupu czy wypożyczenia książki określonego autora stanowi o publicznym sukcesie jego interpretacji, tym bardziej że czas obecności na antenie dla niektórych staje się ważniejszy niż indeks naukowych cytowań.

W szczególności lewica jest predestynowana do obrony mniejszościowych wspólnot pamięci. Nie może dać się zapędzić w ślepy zaułek nieustannych licytacji, kto jest prawdziwym patriotą. Tymczasem w Polsce czasami trudno odróżnić słowa wypowiedziane na temat problemów narodowościowych przez lewicowca i prawicowca. Lewica jako formacja krytyczna musi ukazywać ułudę polskich mitów narodowych, grzechy obciążające polskie sumienie i to, jak dominujący dyskurs służył (często służy) do legitymizacji polityki mającej narzucić polską dominującą pozycję. Zobowiązana jest tworzyć warunki do emancypacji wspólnot pamięci nie uznawanych przez wszechpolskich patriotów. Musi ukazywać rację nie tylko tych, których dziadkowie walczyli w powstaniu warszawskim, ale i tych, którzy musieli walczyć w Wehrmachcie lub Armii Czerwonej. A to w imię obywatelskiej wspólnoty narodowej, która nie kategoryzuje swych obywateli ze względu na losy ich przodków. Jakby wyglądała II Rzeczypospolita, gdyby oficerów sądzono za służbę w zaborczych armiach? Niestety, zbyt wielu polskim politykom deklaruującym się jako ludzie lewicy, brak w tym zakresie należytej odwagi. Choć udało się – głównie staraniem rządu i posłów SLD – uchwalić ustawę o *mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym*, która zapewnia wiele praw mniejszości, w tym symboliczne (np. dotyczące podwójnych nazw miejscowości i ulic czy pomocniczego języka urzędowego), to jednak cały czas odczuwamy niedostatek lewicowego *praxis*, związanego z walką ze wszelkimi przejawami dyskryminacji, także historycznej.

Trzeba w pełni zgodzić się z konkluzją doskonałej książki Marii Janion *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury* (Kraków 2006): „Polska jest ubogim i płaskim monolitem, przeważnie narodowo-katolickim. Dlatego tak męczy tych swoich obywateli, którzy pragną się z nią pożegnać dla Europy rozumianej jako przestrzeń wolności kultury. Można by było tutaj wytrzymać i bez słońca Południa, gdyby bardziej różnorodna, wyzwolona z obsesji kolonialnych i postkolonialnych, właśnie «kolorowa» była nasza kultura” (s. 330). Ukazując zróżnicowanie Polski na wspólnoty pamięci i walcząc o ich prawo do „symbolicznego samostanowienia” – w ramach wspólnych standardów praw człowieka i prawdy historycznej o winie – nie czynimy zamachu na jądro polskości, ale właśnie uwalniamy je z szowinistycznego gorsetu pozwalając naszej kulturze odetchnąć i rozkwitnąć.